BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA
PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 19. Niedziela, dnia 14-go września Rok 1913

TAK BLIZKO!

(OBRAZEK Z ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.)

(Ciąg dalszy.)

— Nie przysięgaj, chłopcze! Idź lepiej do Krakowa, pracuj, ucz się, pamiętaj o swej matce, pamiętaj o kraju i... o Zosi, a wróć do nas i bądź jednym więcej szermierzem w naszem gronie. Powiem ci nadto jeszcze jedno tylko słowo: jeżeli rzeczywiście lubisz dziewczynę i jeżeli starałeś się obudzić w niej to przywiązanie, które żywi dla ciebie, to pamiętaj, iż byłoby zbrodnią nie dotrzymać danego jej słowa; byłoby to ciężkim grzechem wobec Boga, a sprawie mogłoby przynieść straty nienagrodzone. Bo kto wie, może właśnie Bóg cię przeznaczył, abyś kiedyś sprowadził pojednanie i tak wpływowych ludzi, jak Zawadnego i Zawrałę, zwrócił na drogę obowiązku.

Powstał i podał rękę chłopcu.

— Teraz idź z Bogiem, niech cię On prowadzi, a pisuj do mnie i nie zapominaj, żeś tu już przyjął obowiązki.

Otworzył biurko, wyjął zeń pięć dziesięcio-reńskich papierków i wcisnął Stachowi do ręki.

— Stypendyum twoje nieduże, ten grosik na książki ci się przyda. Jak będziesz mógł, oddasz to biedniejszemu od siebie.

Ale Stach był chłopiec poczciwy, niezepsuty i nie umiał kłamać jeszcze.

W pierwszej chwili, pod wpływem zajścia z Zawrałą i żalu po rozdziale z matką i Zosią, na śmierć zapomniał o podarku dziewczyny. Teraz więc wyjął z kieszeni pieniądze otrzymane i położył przed seniorem na stole.

— Co to za pieniądze, chłopcze? — spyta pastor, patrząc badawczo w twarz studenta.

— Od Zosi i jej matki — wyjąknął zapytany i w kilku słowach objaśnił kapłana.

Ten pomyślał chwilę.

— Słuchaj, mój Stasiu. Darowano ci te 300 złr., przyjąłeś je, są więc twą prawowitą własnością. Ja jednak radziłbym ci nie dotykać teraz tego grosza. Dla człowieka przekonanie, iż o własnej sile w świecie się przebija, to, wierzaj mi, rozkosz największa. Masz już 400 złr. stypendyum, masz 50 złr. od matki i 50 złr. odemnie na książki i pierwsze potrzeby. Poleciłem cię w Krakowie; będziesz miał kilka lekcyi, przyzwoite więc Bóg ci zapewnił utrzymanie. Te pieniądze, Stasiu, święte ci być powinny. Jeżeli bowiem użyjesz ich tak lub owak i jeżeli potem serce twoje w inną zwróci się stronę; jeżeli marzenia pani Zawrałowej i Zosi marzeniami tylko pozostaną... jakiem-że czołem wtedy...

Nie dokończył. Poczciwy chłopak, okrywając pocałunkami szlachetną dłoń pastora, przerwał mu, prosząc, aby te pieniądze oddał ich właścicielom.

— Nie, synu, toby im smutek sprawiło. Ale te pieniądze umieszczę tak korzystnie, aby kwota zwiększać się co rok mogła. Jeżeli kiedyś do nas wrócisz, to ci się przydadzą; jeżeli zaś świat cię nam zabierze, przynajmniej jeden grzech mniej będziesz miał na sumieniu.

V.

Półpięta roku od wydarzeń opisanych w pierwszej części tego szkicu upłynęło.

Mimo nadludzkich wysileń prusofilów, czynnie, usilnie popieranych przez tych rolników, którzy, obałamuceni, uwieść się dali starościńskim gruszkom na wierzbie — stronnictwo narodowo-śląskie, przy pierwszych bezpośrednich wyborach do Rady państwa, przeprowadziło swego kandydata, p. Jerzego Cieńciałę, majętnego rolnika z Mistrzowic pod Cieszynem.

Śląsk więc otrzymał obrońcę swych praw we Wiedniu. Marli ze złości Niemcoszki i ich zausznicy.

Lumpenscheidel, Zawadny i Zawrała niebo i ziemię poruszali, aby podważyć polską kandydaturę; powszechnie jednak lubiany i szanowany nowy poseł, przy którym wszystko jak jeden mąż stanęło, znakomitą większością głosów odniósł zwycięstwo.

Założona nowa piła (tartak parowy) kulała już trochę, a choć korcami mierzyć miano reńszczaki, Zawrała dotąd jeszcze nie widział ani grosza. Związany z Saksonem i bezustannie podmawiany przez przełożonego gminy, oddał przedsiębiorstwu i owe 20 000 złr. węgierskiej renty. A choć mu wszyscy mówili, że to nieczysta sprawa i że ona całe jego mienie z czasem pochłonie, sprytni oszuści umieli mu wytłómaczyć, że każdy nowy zakład z początku straty mieć musi i wielkie pochłaniać nakłady.

W przedsiębiorstwie występował przecie jako współwłaściciel.

Biedak jednak, nie znając się na prowadzeniu ksiąg handlowych i o niczem zgoła dotyczącem ja-

niegobądź zarządu nie mając wyobrażenia, przyjął na kasyera prowadzącego księgi owego synka pana Ciufesa, młodego, chorującego na szyk, ubierającego się po francusku i jedzącego wieprzowinę żydka.

Pan kasyer, głoszący ochotnie, że jest bezwyznaniowcem, i że wyżej stoi ponad przesądy swej rasy, rzeczywiście bezwyznaniowo prowadził rachunki. Naiwny zaś Zawrała, szczęśliwy że pod drukowanym tytułem: „właściciel tartaku“, może położyć swoje nazwisko, podpisywał co sobota długie kwity wypłat, weksle i przekazy, nie pojmując iż sam, dobrowolnie, nóż sobie ostrzył na gardło.

Lumpenscheidel prześladował Zosię swą miłością i swą polszczyzną; dziewczę jednak, jak dawniej, mimo gróźb i próśb ojca, tylko wstręt i wzgardę mu okazywało.

Tymczasem cały piękny las Saksona, prześliczne jedno w drugie drzewo, szedł w tarcicach do Bogumina, ztamtąd zaś do Prus, daleko, aż nad morze. Na tartaku ocenionym na 160 000 zlr., trzy czwarte już tej kwoty stanowiły długi. Plan, w ów wieczór wyruszenia Stacha do Krakowa tak sprytnie obmyślany, miał być wkrótce wprowadzony w życie; że zaś Zawrała nie pomyślał o zabezpieczeniu losu Zosi, a majątek osobisty jej matki małą przedstawiał kwotę, chodziło więc już o to tylko, aby w przygotowanem fałszywem bankructwie można było pochłonąć rolę i gospodarstwo biednego wieśniaka.

Daremnie błagała go matka Zosi, zaklinając aby zaniechał tak ryzykownego i z takimi ludźmi przedsiębiorstwa — rolnik był uparty i zarozumiały, wycofać się zaś już nie mógł zupełnie, gdyż gotówkę utopił w nowym zakładzie, trzy czwarte swego mienia.

W końcu, jak wyżej powiedzieliśmy, popadł nieszczęśliwy zupełnie pod wpływ Saksona i Zawadnego, a ci mu wkrótce już mające spaść na niego złote góry obiecywali.

Udawała się wprawdzie nieboga i do adwokatów po radę, tu jednak nic wskórać nie można było, bo rolnik działał samoistnie, a Lumpenscheidel, Zawadny i obaj Ciufesowie zanadto byli kuci, aby ich można było pociągnąć kryminalnie, lub choćby tylko zwołać komisyą, celem zbadania zarządu tartaka.

A Stach? — zapytacie może.

O Stachu od dwóch lat już nie było żadnej wieści.

Z początku przyjeżdżał do matki, pisywał listy do Zosi, zasięgał rad zacnego seniora cieszyńskiego zboru — słowem dawał wszelką rękojmię, iż o swoich nie zapomni. Gdy jednak przeszedł na trzeci kurs medycyny i przyjechał wziąć błogosławieństwo od umierającej matki, był już prawie nie do poznania.

Prawda, że jak dawniej, w dziecinnych latach, spędzał dnie i noce przy łożu niebogi, że ucałował dłoń zacnego kapłana i posyłał życzliwe uśmiechy dziewczęciu; ale już utracił tę dawną, młodzieńczą swobodę i kochającej go zawsze, więcej może niż przedtem, mówił „panno Zofio“, co na oczy towarzyszki jego lat dziecinnych nieraz łzy sprowadzało.

Po śmierci matki, powierzywszy swą drobną chudobę pieczy pani Zawrałowej, odjechał znów do Krakowa i od tego czasu przestał pisywać zupełnie.

Daremnie łamało sobie główkę biedne dziewczę, aby zgadnąć przyczynę milczenia; daremnie przez seniora zapytywało w Krakowie, co tam Stach porabia.

Pośrednie odpowiedzi brzmiały zawsze jednakowo: uczy się doskonale, jest ulubieńcem profesorów, uczęszcza na praktykę do miejskiej lecznicy, zdrów i oto wszystko.

Pewnego dnia Zawrała, od miesiąca już nagabujący bezustannie córkę, aby oddała rękę Lumpenscheidlowi, przyszedł do domu markotny trochę. Nic jeść nie chciał, tylko kazawszy sobie zgotować warzonki, zawołał żonę do saloniku i długą tam z nią miał naradę.

Po godzinnem szeptaniu, kazał założyć konie i pojechał do Cieszyna.

Zosia, siedząc w czeladnej izbie, jako dobra pomocnica w domowem gospodarstwie, drobnemi swemi, choć trochę zgrubiałemi rączkami skrobała (darujcie mi, piękne czytelniczki)... najprościej w świecie ziemniaki na wieczerzę dla ludzi.

Pilnie poruszały się rączyny ślicznej panienki, lecz myśli, z pochylonej nad opałką główki, wybiegły hyżo i uleciały do starego Piastów grodu.

„Co on teraz robi?... czy myśli czasem o mnie?... czy tu do nas wróci?... i czy...“

Myśli, jak kłębek pod łapką figlarnego kotka, pomotały się trochę; żywa purpura oblała wdzięczną twarzyczkę dziewczęcia i to ciche, serdeczne pytanie „i czy“... pozostało nierozwiązane.

Za zapiętą pod szyję wiejską koszulką, urocze łono dziewczęcia paliła złota obrączka, paliły wewnątrz jej wyryte litery S. B. i data: 13 października 1869 r.

Usteczka Zosi były suche, jakby gorączką trawione; może usta te palił jeszcze płomień pierwszego pocałunku, co pod krzyżem, przy górskiej drożynie, zgorszył tak w dniu onym wszystkie ptaszki objadające purpurowe głogi.

Nie wiem, wszystko to być może; ale dziewczę, wsunąwszy rękę do kieszonki błękitnej spodniczki, wyjęło z niej mały pugilaresik z czerwonego safianu, zawierający fotografię dorodnego młodziana.

Miał wysokie, rozumne i myślące czoło; ciemne, duże, pełne światła oczy, a śliczny wąs ocieniał usta.

Zosia długo patrzyła w ten obrazek; do ust go nawet podobno przytuliła raz i drugi, gdy weszła matka.

Biedna kobieta miała zaczerwienione, prawie sine od płaczu oczy.

Skinęła na dziewczę i weszły obie do Zosinego pokoiku.

— Zosieńko moja — rzekła drżącym głosem, tuląc ją do piersi, — miej odwagę, ojciec powiedział mi, że jest zupełnie zniszczony i że... jedyna nadzieja w tobie.

— Jakto, mamo?... kto zniszczony?... tatko?... nie rozumiem cię... mój Boże!

— Wiem tylko, iż ojciec, gdy Lumpenscheidel zechce, wszystko stracić może, że jednak ten Sakson chce cię koniecznie za żonę...

Dziewczę załamało rączki i gwałtownie płakać poczęło.

— Nie płacz, Zosiu; ja ci tylko powtarzam ojca wolę, sama jednak nigdybym się na to nie zgodziła.

I długa przeszła chwila, nim płaczące, zrozpaczone dziewczę spokojniej rozpatrzyć mogło wszystko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BŁYSNĄĆ MUSI!...

Błysnąć musi słonko jasne
Ponad naszą ziemią
I obudzić siły twórcze,
Które w łonie drzemią!

Piękna ziemia, nasza niwa
W pracy się użyźni,
Gdy pokocha człek bliźniego,
Jak bliźniego bliźni.

I dobrobyt i wesele
Do chaty zapuka,
Kiedy wejdzie do niej czysta
Prawda i nauka.

Będzie naród nasz rozrastał
Słonecznie i zdrowo,
Kiedy zabrzmi wiedzy naszej
W chatach piękne słowo!

Będzie wzrastał i potężniał
W nieskończone lata,
Kiedy każdy człek pokocha
Człowieka jak brata!

W jasnych, pięknych snach przyszłości
Widzę niwę żyzną,
Idź do szczęścia, do wesela,
Idź, droga ojczyzno!

W jasnem słońcu i weselu
Idź na tory nowe,
Zbieraj wszystko to, co piękne,
Szlachetne i zdrowe!

Z cnót przeczystych i prawd wielkich
Splataj słowy dyadem,
Dla narodów bądź jasnością
I czynów przykładem!

Czego uczy Pismo święte o wstrzemięźliwości od trunków?

(Ciąg dalszy.)

Za wierność prawom boskim dla nich ustanowionym obiecał im Pan Bóg, że „nie ustanie mąż“ z tego pokolenia, t. zn. że nigdy nie wyginą i że zawsze zachowywać będą prawa Boże. To błogosławieństwo ziściło się w całej pełni, gdyż istnieją do dziś dnia, jako plemię arabskie i zawsze dochowują wstrzemięźliwości od trunków. Wcale nie piją trunków także wszyscy mahometanie, t. j. Turcy, Arabowie i różne narody w Afryce.

Dziś najuczeńsi lekarze przyszli do przekonania, że alkohol jest trucizną, sprawdzili więc tylko to, w co wierzyli Rechabici przed tysiącami lat i w co dziś jeszcze wierzą. Nasza wstrzemięźliwość opierać się więc powinna na rozsądku i na doświadczeniu wiekowem całych pokoleń.

Jeżeli chcemy, aby nasz naród istniał na wieki, to przestańmy pić, bo Pan Bóg błogosławi tylko narodom trzeźwym. Niemcy piją jeszcze więcej niż my, dlatego nie bez racyi mówią, że Polacy w porównaniu z nimi rozmnażają się jak króliki. Francuzi piją wino zamiast wody, dlatego ludności tam ciągle ubywa, a rząd francuski ogłosił nawet nagrody dla ludzi, którym się uda wychować więcej niż dwoje dzieci.

VIII. **D a n i e l.** Królowie assyryjscy i babilońscy mieli zwyczaj, że z pośród pojmanych w niewolę wybierali młodzieńców utalentowanych i tych kazali na dworze swoim wychowywać i kształcić. Młodzieńcy ci otrzymywali pożywienie i wino ze stołu królewskiego. Gdy król babiloński Nabuchodonozor zdobył Jerozolimę (606 lat przed Chr.), między jeńcami znajdował się młodzian z krwi królewskiej D a n i e l wraz z trzema towarzyszami. Daniel postanowił nie jeść pokarmów zakazanych prawami Mojżesza i prosił przełożonego, aby mu dawał jarzyny strączkowe do jedzenia a wodę do picia.

Do tej prośby przyłączyli się także trzej inni młodzieńcy. I rzekł podczaszy królewski do Daniela: „Boję się króla, bo jeżli ujrzy twarze wasze chudsze, niż innych waszych rówieśników, narazicie mnie na śmierć“. Daniel atoli rzekł: „Spróbuj proszę przez 10 dni a przypatruj się twarzom naszym i twarzom pacholąt, którzy jedzą potrawy królewskie i piją wino, a potem uczynisz jak zechcesz“.

Przełożony doświadczał ich przez 10 dni, a gdy po tym czasie pokazały się twarze ich pełniejsze niż innych pacholąt, dawał im jarzyny i wodę, a potrawy i wino dla nich przeznaczone brał dla siebie. I dał Bóg pacholętom tym wielką mądrość a Daniela obdarzył Duchem proroczym.

O Nazarejczykach, którzy byli zupełnie wstrzemięźliwi, mówił Prorok Jeremiasz: *Bielsi nad śnieg Nazarejczykowie, jaśniejszy nad mleko, rumiańszy niżli stara kość słoniowa, piękniejszy niżli szafir*)*.

Dobre wyglądanie jest oznaką zdrowia, jeżeli więc wstrzymujący się od alkoholu, tak dobrze wyglądali, jak mówi Jeremiasz, przeto alkohol do zdrowia potrzebnym nie jest.

Podkomorzy królewski wierzył w przesąd, tak jak wielu ludzi dzisiaj jeszcze wierzy, że alkohol jest człowiekowi niezbędnie potrzebny. Przesąd ten powstał na podstawie podniecającego działania trunku. Pozornie, ale tylko pozornie, wlewa on nowe siły w zmęczony organizm, wiadomo bowiem, że każdy pijak jest słaby i sił niema do pracy; pozornie ogrzewa on zziębnięte ciało, ale tylko pozornie, bo iluż pijaków zamarzło w zimie na śmierć, chociaż człowiek trzeźwy, gdy zaśnie na zimnie, tak łatwo przecież nie ginie.

Tymi pozorami zadawalają się ludzie i nie doc dzą, czy skutki będą złe czy dobre. Złudzenia są pełnie czem innem niż rzeczywistość. Wszak zn każdemu złudzenie, iż zdaje mu się, gdy jedzie kol że siedzi spokojnie, a drzewa i domy uciekają p nim w stronę przeciwną. Ale czy tak jest w istoc Tak samo ma się rzecz z alkoholem. Nauka wykaza że prawdziwe skutki alkoholu są zupełnie różne od zornych, których pijący doznaje, a mianowicie: al hol odbiera siły, obniża naturalną ciepłotę ciała, powiększa pragnienie i rujnuje zdrowie.

Lecz siła przesądu jest wielka; ten sam przesąd, który panował wówczas w Babilonie, panuje jeszcze u wielu ludzi do dzisiaj i czyni swoimi niewolnikami nietylko biednych i nieświadomych, lecz nawet ludzi podobnych do podkomorzego króla Nabuchodonozora. Nie zawsze mądrzy są ludzie lepiej ubrani, którzy otrzymali wyższe wykształcenie lub piastują wysokie urzędy. Daniel i jego towarzysze wiedzieli, że soczyste mięsa i trunki nie są wcale tak bardzo pożywne i wzmacniające, a choć nie posiadali nauki czasów obecnych,

---

*) drogi kamień.

to jednak daleko odbiegli od ciemnoty i błędów swoich współczesnych. Wiedzieli oni, że woda jest jedynym napojem niezbędnie potrzebnym do rozpuszczenia pokarmów i do zdrowia i wiedzieli także, że rośliny strączkowe, jak groch, fasola, bób i soczewica, zawierają bardzo wiele składników, stanowiących zdrowy i pożywny pokarm.

Żywiący się jarzynami i pijący wodę Daniel z towarzyszami byli rumiani i wyglądali daleko lepiej od tych, którym podawano tylko soczyste mięsa i gorące trunki.

Uczeni lekarze przyszli dopiero niedawno do tego przekonania i zalecają jeść mało mięsa, dużo jarzyn i owoców a zaniechać zupełnie trunków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla domu i gospodarstwa.

Strzepywanie kurzu.

Zajrzyj do oporządzonego pokoju. Śliczny, ani słowa; wszystko się w nim błyszczy: w meblach przejrzyć się możesz jak w lustrze, na pozór nic do zarzucenia. Ale w gruncie rzeczy, gdzież jest ów kurz, co przed chwilą meble pokrywał? Nikt go nie spalił, nie usunął, nie zniszczył. Gdzież więc jest? — w powietrzu! Spędzony z mebli, że ścian, tam się ulokował; choćbyś nie wiedział, uczujesz po zbieraniu się na kichnięcie, że tu trzepaczka była w robocie.

Meble czyste, ale powietrze zato brudne: pył odpoczywający dotąd spokojnie na ścianach, książkach, grzemsach, krąży teraz po pokoju, dostaje się do płuc, do kanałów oddechowych, w sam środek tkanek. Ten pyłek, kręcący ci w nosie, to nie są same nieszkodliwe szczątki węgla, tkanin lub wapna: ani zliczysz, ile zawieszonych w nim jest zarodków, jajek wszelkiego rodzaju.

Od czasu Pasteura nie można wątpić, że znaczną część ciężkich chorób zawdzięczamy owym nieskończenie drobnym, nieistniejącym dla oka zarodkom zabójczym, które dostawszy się raz do organizmu, trawią go jak zjadliwa trucizna.

Wynajmujesz lokal: czy wiesz, kto w nim mieszkał, co działo się tu przed dziesięcioma laty? któż wie, czy nie grasowała tu zaraza: może cholera, może ślinogorz. Pomimo to strzepujesz kurz co rano. Zarodek złośliwy siedział sobie ukryty gdzieś w załamie sufitu, a ty budzisz go i zapraszasz na ulokowanie się w twych płucach.

Zarodek ten spaść może na pieczywo, na mięso, w chwili, gdy spożywasz śniadanie, wkraść się do śpiżarni. Nie dojrzysz go bez mikroskopu, a przecież zabija bez litości. Dość było jednego machnięcia trzepaczką, by struć cię lub drogą ci osobę. Koniec końcem jaka korzyść z takiego strzepywania? istny trud Penelopy. Spójrz za godzinę na meble: znów skurzać je potrzeba. Pył uniesiony w powietrze spada powoli i rozsiada się znowu. Potrzeba przynajmniej 48 godzin, by oczyścić w zupełności powietrze z pyłu w pokoju, w którym robiono porządek, cóż więc zyskujesz: oddychasz tylko powietrzem zepsutem a kurzu pomimo to nie usunąłeś. Spójrz na promień słońca przedzierający się przez firanki, a zobaczysz, ile w nim wiruje pyłków strzepanych z twych mebli.

O cóż więc idzie? — o usunięcie kurzu — a to nastąpi tylko wówczas, gdy go zetrzesz. Zarodki przylegają do ścierki, zwłaszcza jeżeli jest wilgotna i nie rozpraszają się w powietrzu. I z obiciem i z firanką można sobie poradzić tak jak z meblem. Osoby nie mogące się obejść bez strzepywania, powinnyby przynajmniej brać się do tej czynności nie rano, ale wieczorem w apartamentach, w których się nie sypia. Przez noc zarodki opadają, nazajutrz powietrze jest już znacznie czystsze.

Przy tej okazyi słówko o soli i pieprzu. Solniczki nasze i pieprzniczki są prawie zawsze otwarte, tak iż kurz zawieszany w powietrzu bez trudu dostać się może do ich wnętrza. A nuż dostanie się tam pyłek zaraźliwy? Solisz kawałek chleba — ani się domyślając, żeś go trucizną posypał. A nie zapominaj, że jeden taki zarodek dostateczny jest czasem na zaszczepienie zarazy. Radzimy więc opatrywać solniczki hermetyczną pokrywką.

Wojna z komarami.

Te drobne lecz dokuczliwe stworzenia zatruwają nam nieraz rozkosze wiosny i lata i szczególniej w miejscowościach wilgotnych, albo nad brzegami stawów i strumieni stają się istną plagą. Różne istnieją sposoby ich tępienia. Naturalnemi wrogami komarów są niektóre gatunki ryb, a szczególnie karpie i tak pospolite u nas cierniki.

W amerykańskim stanie Teksas nękanym przez zjadliwe moskity, w porównaniu z któremi nasze komary są niewinnemi barankami, oprócz hodowli właściwych ryb, które pożerają komary, innego jeszcze używają sposobu. Wiadomo, że larwy komarów trzymają się zawsze wód zacisznych, stojących, a nie znoszą wszelkiego ruchu, otóż dla ciągłego ich niepokojenia stawiają tam na najmniejszych nawet zbiornikach wody małe wiatraczki, które obracają zanurzone w wodzie koła.

W Laponii odpędzają komary za pomocą dymu. W Wenecyi spalają przeciwko nim specyalne trociczki zamknąwszy przedtem okna; woń ich obezwładnia wszystkie komary. Trociczki składają się ze świeżego proszku perskiego, zwilżonego wodą lub spirytusem, robi się z niego niewielkie pigułki i po wysuszeniu w ciepłem miejscu, spala w sypialni. Zapach nafty odurza także te dokuczliwe owady, najskuteczniejszy jednak jest olejek eukaliptusowy; nawet świeża gałązka tego drzewa położona w pokoju zabezpiecza od komarów. Odstrasza je również waselina z kwasem karbolowym, krople lawendowe, wyciąg spirytusowy bagna i maść parafinowa z kamforą; jednym z tych środków trzeba natrzeć sobie twarz, ręce i szyję, żeby uchronić je od ukąszenia. Miejsca pocięte przez komary najlepiej posmarować słabym roztworem amoniaku, który zapobiega tworzeniu się świerzbiących wyrzutów.

Oprócz ryb, naturalnemi wrogami komarów są ptaki owadożerne, szczególnie jaskółki i owady drapieżne, n. p. ważki i szklarze.

W Afryce mieszkańcy używają przeciwko moskitom rośliny „Ocimum viride", zaliczonej do rodzaju „Basilicum"; sprowadzona do Europy w roku 1823 pod nazwą „ziela febrycznego", wielkością i kształtem przypomina nasze bodziszki (geranium). Liście jej roztarte wydają silny zapach balsamiczny, odstręczający muchy i komary. Jeden jej wazon umieszczony na noc w sypialni, odstrasza moskity. W Azyi to samo zastosowanie mą około 60 gatunków tej rośliny.